Nr 21 (27), 20 – 26 LIPIEC 1947
Cena 20 zł

Świat MŁODYCH



FOTO PIROTTE

POLSKIE DNI W PRADZE



Moment podpisania umowy polsko-czechosłowackiej.

Premier Czechosłowacji powiedział:

„I my i Wy poznaliśmy okropności wojny i gorąco pragniemy pokoju. Przeszliśmy przez piekło okupacji hitlerowskiej i mamy żywotne interesy w całkowitym zniszczeniu resztek faszyzmu i hitleryzmu. Chcemy pracą swoich rąk naprawić wszelkie szkody wyrządzone przez wojnę i okupację. Do tego celu, celu utrzymania pokoju, zniszczenia resztek faszyzmu i kontynuowania twórczej pracy konieczna jest współpraca ze wszystkimi, którzy kierują się tym samym celem co i my".

W odpowiedzi padły słowa Premiera Polski:

„Jestem wzruszony serdecznym i gorącym powitaniem na ziemi czechosłowackiej. Świadczy ono o tym, jak głęboko zakorzeniona jest instynktowna potrzeba przyjaźni w narodach polskim i czechosłowackim. Rzeczą obu narodów jest realizować tę przyjaźń, nadając jej konkretną treść polityczno-gospodarczą. Nie ma dla naszych narodów osobnych dróg. Mamy wspólne doświadczenia i wspólny musi być nasz marsz dla zabezpieczenia pokoju. Tak jak granicą naszej niepodległości są Wasze Sudety, tak granicą Waszej niepodległości są nasze granice na Odrze i Nisie".



Tłumy ludności praskiej przed dworcem w Pradze w oczekiwaniu delegacji polskiej.



Premier Cyrankiewicz dekoruje ministrów czechosłowackich orderem Polonia Restituta.



Przedstawiciele władz i ludności czechosłowackiej witają przejeżdżającą delegację polską na stacji Pardubice.

FILM POLSKI



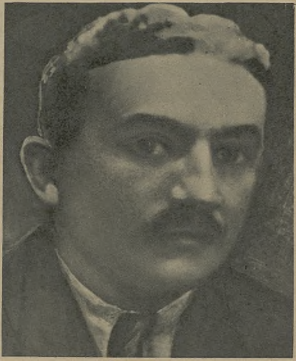
Paryż. Bevin przybywa na „Konferencję Trzech".



Edward Herriot, przewodniczący francuskiego Zgromadzenia Narodowego, został przyjęty do Akademii Francuskiej.



Jacquot, nowy oskarżony w sprawie spisku Lamballe, wychodzi po badaniu od sędziego śledczego „w towarzystwie" swego strażnika i adwokata



Gen. Guillandot, jeden z uczestników faszystowskiego spisku we Francji, znanego pod nazwą „Planu błękitnego".

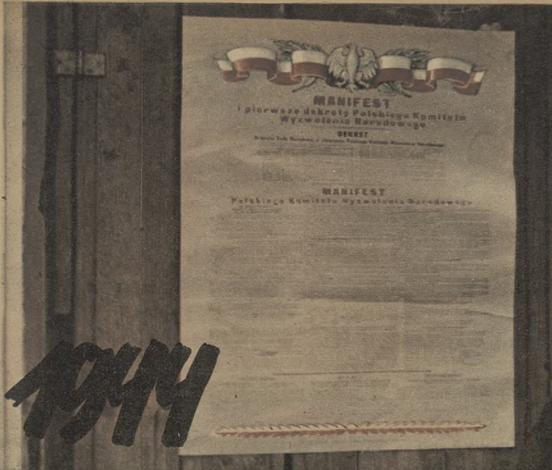


Żona prezydenta Argentyny Peron'a — gwiazda filmowa w rozmowie z wystrojonym torreadorem podczas „uroczystej" walki byków, w Madrycie urządzonej na jej cześć.



Białe Kruki odnalezione w Niemczech i ocalone przez Armię Czerwoną wracają do Warszawy. Przed ich powrotem urządzono w Moskwie wystawę.

FOTO KEYSTONE SAP



1944 22 Lipca

Mjr Natalia Bajtner

22 lipca 1944 roku! Wyzwolona ziemia lubelska entuzjastycznie wita żołnierzy 1-ej Armii Polskiej, zwiastunów wolności i odrodzenia. Ulice Chełma, Lublina, wiejskie drogi i szosy zalane są tłumami Polaków. Pod nogi maszerujących oddziałów sypią się kwiaty. Twarze mężczyzn, kobiet i dzieci promienieją uśmiechem i łzami. To łzy radości i ulgi. Oto szczezła zmora straszliwych pięciu lat niewoli i upokorzenia. Z popiołów i zgliszcz zmartwychwstaje Polska Niepodległa.

Tego samego dnia lotem błyskawicy rozeszła się radosna wieść o powołaniu do życia uchwałą Krajowej Rady Narodowej pierwszego rządu — Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Na murach i płotach rozkwitły barwnymi plamami plakatów słowa Manifestu PKWN — „Do Narodu Polskiego". Czytały je chciwie tysiące oczu. Przed każdym plakatem gromadziły się tłumy. Nieliczni tylko rozumieli wówczas, że oto zmienia swój bieg historia Narodu.

Dziś, gdy od historycznego dnia 22 lipca 1944 r. minęły trzy lata, z dumą spoglądamy wstecz. Dziś wiemy już na pewno, że słowa Manifestu Lipcowego nie pozostały na papierze. Program, który głosiły, został ucieleśniony w postaci niepodległej, demokratycznej, ludowej Rzeczypospolitej Polskiej. Przypieczętowały go krew i pot milionów obywateli naszego Państwa, miliony prostych ludzi od pługa, młota i pióra.

22 lipca jest nie tylko świętem odrodzenia Państwa Polskiego, nie tylko rocznicą powstania pierwszego rządu niepodległej Polski. Olbrzymie nie przemijające znaczenie święta lipcowego polega na tym, że 22 lipca 1944 roku jest początkiem nowej ery w dziejach naszego państwa i narodu. Manifest PKWN, który stał się programem działania zjednoczonego obozu demokracji polskiej, wytyczył Polsce zupełnie nowe drogi rozwojowe. Było to ostateczne zerwanie z tradycyjnymi drogami Polski szlacheckiej i obszarniczo-kapitalistycznej.

Stawiając przed narodem, jako naczelne zadanie, całkowite wyzwolenie kraju z hitlerowskiej okupacji, Manifest jasno i wyraźnie wysunął postulat przesunięcia Polski na Zachód, nad Odrę i Bałtyk. Oznaczało to jednocześnie radykalną zmianę naszej dotychczasowej polityki zagranicznej — sojusz ze Związkiem Radzieckim i wszystkimi państwami słowiańskimi, przyjaźń z demokratycznymi narodami świata, kres naszej ustępliwości wobec germańskiego naporu.

W dziedzinie polityki wewnętrznej Manifest śmiało postawił zagadnienie całkowitej przebudowy społecznej i gospodarczej kraju. Reforma rolna, unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, władza w rękach ludu pracującego, odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych — oto program Manifestu na wewnątrz. Tak więc po raz pierwszy w dziejach Polski w oficjalnym dokumencie znalazły swój wyraz najgłębsze pragnienia mas ludowych — chłopów, robotników, pracowników umysłowych.

Nic więc dziwnego, że wokół takiego programu obóz demokracji polskiej potrafi skupić i zmobilizować olbrzymie siły, wszystko, co światłe i postępowe, wszystkich, którym drogie są ideały wolności, sprawiedliwości, demokracji. Ale też z drugiej strony jasną jest rzeczą, że wpoprzek tej nowej, słusznej drogi stanęło nasze rodzime wstecznictwo, poparte przez międzynarodową reakcję.

Historia ostatnich trzech lat wypełniona jest heroicznym wysiłkiem demokracji polskiej mającym na celu, realizację programu, zawartego w Manifeście Lipcowym. Wysiłkiem tym większym, że dokonywanym w nieustępliwej, zwycięskiej walce z wrogami Polski Ludowej.

Tym większa też napawa nas duma i radość, gdy spoglądamy dziś wstecz na ten wielki szmat drogi, przebytej od dnia 22 lipca 1944 roku aż po dzień dzisiejszy. To, co wówczas było śmiałym, na gigantyczną miarę powziętym zamierzeniem, dziś stało się w dużej mierze rzeczywistością. Mamy za sobą piękną epopeję walk żołnierza polskiego o niepodległość Polski. Wojsko Polskie, wskrzeszone do życia dekretem KRN o połączeniu Armii Ludowej z 1 Armią Polską w ZSRR, wpisało nowe chlubne karty do swej historii. Walcząc ramię przy ramieniu z sojuszniczą Armią Czerwoną, wyparło Niemców z ziemi ojczystej, przekroczyło Odrę i Nysę, by na gruzach zdobytego Berlina zakończyć swój wspaniały marsz bojowy.

Spełniły się historyczne słowa Manifestu o „polskich słupach granicznych nad Odrą".

Trzy lata temu całe terytorium naszego państwa mieściło się między Bugiem a Wisłą. Dziś od Zgorzelic do Szczecina rozbrzmiewa polska mowa. Na północy 500-kilometrowy pas wybrzeża otwiera nam szeroką bramę na świat. Tętnią życiem nasze wielkie porty w Gdańsku, Gdyni, i Szczecinie, 5 milionów Polaków gospodaruje na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Pomorzu, Warmii i Mazurach. Ziemie Odzyskane — to nasza duma i siła. Niespełna trzy lata polskiej gospodarki na zachodzie przekonały nie tylko naszych przyjaciół, ale i wrogów o wielkiej prężności i pracowitości narodu polskiego.

Przystępując, zgodnie z zapowiedzią Manifestu Lipcowego, do odbudowy państwa, oparliśmy się na trwałych i pewnych fundamentach demokracji gospodarczej. W tempie, nieznanym w żadnym innym kraju i kosztem najmniejszych ofiar dokonaliśmy gruntownych reform. Reforma rolna dała ziemię 850 tys. rodzin chłopskich i repatrianckich. Chłop polski, ten co „bronił i żywił", ale nigdy nie miał pełni praw obywatelskich, jest dziś rzeczywistym współgospodarzem kraju, panem na swojej ziemi. Znikł raz na zawsze z polskiej wsi cień obszarniczej samowoli ekonomicznego knuta.

Własnością całego narodu stały się wielkie fabryki, huty, kopalnie, banki. Krwią i potem polskiego robotnika nie tuczy się już więcej polski fabrykant i zagraniczny kapitalista. Skończyły się czasy, gdy robotnik strajkiem wywalczać musiał sobie prawo do życia i godności ludzkiej. Z fabrykanckiego najmity stał się on wolnym budowniczym własnego, ludowego państwa.

Wielkimi krokami postępuje naprzód dzieło odbudowy kraju ze straszliwych zniszczeń, jakie pozostawiła nam wojna i okupacja. Najbardziej widomym znakiem naszych osiągnięć jest Plan Trzyletni, realizowany z powodzeniem od siedmiu blisko miesięcy. Mocno pulsuje nasze życie gospodarcze, rozwija się handel zagraniczny, znikają ugory z pól, rośnie produkcja przemysłowa, rozwija się życie kulturalne.

Wprawdzie wiele jeszcze zostało do odrobienia, nie znikły zupełnie trudności gospodarcze, dotychczasowe osiągnięcia dają nam jednak pewność, że wszystkie przeszkody i trudności potrafimy usunąć szybciej, niż gdziekolwiek.

W parze z przebudową naszego życia gospodarczego i politycznego na zasadach demokracji ludowej wzrasta stale znaczenie Polski w świecie. Trzy lata temu byliśmy państwem bez ustalonych granic, rządu naszego nie uznawał nikt, prócz Związku Radzieckiego, z naszym zdaniem na arenie międzynarodowej mało kto się liczył. Dziś mamy mocne sojusze z bratnimi państwami słowiańskimi, które wzmacniają bezpieczeństwo naszych granic i naszą pozycję w Europie. Zajmujemy poważne miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych, podpis nasz widnieje na traktatach pokojowych z satelitami Niemiec. Zmusiliśmy do liczenia się z nami największe potęgi świata — Stany Zjednoczone i Anglię. Dzięki demokratycznej i pokojowej polityce naszego rządu zdobyliśmy sympatie wszystkich wolnych narodów świata.

A trzeba pamiętać, że realizując wytyczne Manifestu Lipcowego, musieliśmy nie tylko przezwyciężać trudności zewnętrzne, ale także zwalczać przeszkody, stawiane przez wrogów wewnętrznych — obszarnictwo, fabrykantów, bandy reakcyjne, PSL. Również i z tej walki wyszliśmy zwycięsko. Reakcja została pobita na głowę. W wyborach sejmowych cały naród opowiedział się za programem obozu demokratycznego. Skończył się okres tymczasowości, mamy już Sejm i stały rząd. Krzepnie i potężnieje nowa Polska Ludowa.

Oto w krótkich słowach nasz trzyletni dorobek. Pozostało jeszcze do zrobienia wiele. Musimy wykonać całkowicie Plan Trzyletni, musimy wygrać bitwę o handel, musimy zbudować dobrobyt i szczęście narodu. To też nadal jest nam potrzebna gotowość przezwyciężania trudności, wytrwałość i jedność wszystkich demokratycznych sił narodu.

Młodzież, ta najprężniejsza i najbardziej oddana część narodu, musi wziąć na swoje barki niemałą część odpowiedzialności za dalszy pomyślny rozwój państwa. Młody robotnik, chłop i inteligent muszą mocno wziąć się za ręce, by wspólnymi siłami podeprzeć rosnący gmach niepodległej, wolnej i sprawiedliwej Polski — Polski Manifestu Lipcowego.







Jan Drda

Dozorca dynamitu

(przełożył z czeskiego Stefan Duba)

Po ukończeniu zmiany, kiedy już było pewne, że dozorcy wyjechali na górę, zeszli się w najodleglejszym chodniku dwudziestego piątego pokładu. Suchy drągal Martinek, Jarda Jechnie, z gębą wykrzywioną od ucha do ucha, z której mu wybił zęby przedwczesny wybuch dynamitu, Karaś z Łażca, Piotr Hawranek z Donbi Liszka, Karnet i Franciszek Milec.

— Kamraci — rzekł Karnet, który ich zwołał, — rzeknę prosto z mostu, co myślę. U nas mordują te bestie setkami, a w Rosji całymi milionami. A myśmy siedzieli do tej pory... jak myszy w norach. Ciągiem się gada, żeśmy bezbronni. Ale my mamy w rękach broń, i byłaby hańba, gdybyśmy jej nie użyli.

Nie trzeba było więcej mówić. Dzień po dniu chodzili z szychty wzdłuż toru. Wieczorami i o świtaniu liczyli ilości transportów wojskowych jadących na wschód.

— Jest nas sześciu, to są dwie dobre partie po trzech. A swoją robotę znamy. Milca do tego nie będziemy ciągać, on sie postara o co innego. Jak pójdziem na tę naszą robotę, to ci damy awizo, pójdziesz sobie wtedy do gospody, żebyś był czysty. Franek, ile nam tego możesz dać?

Franciszek Milec, dozorca magazynu dynamitu na kopalni, otarł czoło mokre od zimnego potu, który nagle mu wystąpił. Aż w krzyżach, w żołądku, we wszystkich wnętrznościach poczuł gwałtowny atak fizycznego strachu i ślina, w tym momencie gęsta i lepka, przylepiła mu język do podniebienia.

— W tygodniu... tak z dziesięć kilo... — wyjąkał z cicha.

Gdy wracał z tej szychty do domu, kręciło mu się w głowie z przerażenia przed tym, co nastąpi. Nie był materiałem na bohatera. Sześdziesięcoletni, drobniutki, słaby, zahukany, od dzieciństwa wdrażany do pokory wobec panów.

— Nie, kamraci, nie zmuszajcie mnie, — byłby ich prosił ze złożonymi rękami, gdyby go byli namawiali, zmuszali. Ale oni spytali tylko: — Franek, ile nam tego możesz dać?

I na to proste, oczywiste i z zaufania płynące pytanie, nie mógł odpowiedzieć „nie dam". Musiał iść z nimi i na tę zmianę, w czasie której wszyscy nieśli za pasem swoją własną śmierć. Wojskowe pociągi noc w noc przerzynały ciszę górniczych wiosek. Franciszek Milec, leżąc z otwartymi oczami, słuchał ich dudniącego rytmu, i składając mimo woli ręce, modlił się w milczeniu i żarliwie, aby to wszystko było tylko snem, aby to była zmora nocna, z której dana jest człowiekowi niewysłowiona łaska przebudzenia się. Każdego dnia bowiem wynosił z kopalni dwa, trzy kilo dynamitu, który wieczorem wręczał Karnetowi.

Za dziesięć dni, około północy, wyleciał pociąg z transportem SS. Ładunek przygotowano na zakręcie toru koło Czarnego Błota, na wysokim nasypie, wiodącym przez sławińskie bagna. Lokomotywa porwała za sobą osiem wagonów, które gruchnęły w dół po stromym nasypie i rozgniotły się jak dziecinne zabawki.

W trzy dni później uszkodzono tor o piętnaście kilometrów dalej na północ. Wojskowy pociąg towarowy wykoleił się i rozbił runąwszy z nasypu. Gestapowcy obrócili wszystko w okolicy do góry nogami. Przyszli też na kopalnię „Anna Maria", przeliczyli Franciszkowi Milcowi każdy nabój. Magazyn znajdował się we wzorowym porządku.

— Unsinn, — skrzywił się kierownik Blaschke, kiedy gestapowcy wyrazili podejrzenie co do Franciszka Milca. — Nieszkodliwe, zastrachane bydlątko. Absolut unpolitisch!

A za tydzień znowu wyleciał wpowietrze pociąg z parkiem dział przeciwlotniczych. Terror gestapowców rozszalał się nad okolicą. Kobiety spoglądały stroskanymi spojrzeniami w twarze mężczyzn, szukając śladów przyznania się. Ale twarze chłopów były nadal chmurnie twarde. W nocy nagły skowyt psów budził grozę w obejściach. Po kogo... po kogo teraz przyjdą?

Czwarty pociąg z amunicją, wyleciał w powietrze pod Carwankami, koło jałowcowych chaszczów niecałą godzinę drogi od Milcowej wsi. Przerażające fajerwerki ognia z płonącej amunicji pękały przez całą noc, malując na niebie brudno-krwawe plamy.

Franciszek Mielec odszedł na szychtę, jak zwykle, przyjąwszy od żony na pożegnanie bańkę z kawą i pocałunek. Ledwie się trzymał na nogach. Tym razem koledzy nawet nie powiedzieli, że pójdą na nocną robotę. Właśnie wczoraj przyniósł trzy kilo „rąbaniny". Szukał Karneta wieczorem, ale ten jakoby pojechał do Ouholic, do szwagra, po trochę grochu. Tak więc, nie wydawszy dynamitu na noc, schował go w domu na dnie szafy, pod starymi rupieciami i narzędziami.

Trzy razy zastanawiał się po drodze do kopalni, czy jednak nie wrócić i raczej wrzucić go do gnojówki, albo wynieść do stawu. Ale za każdym razem, kiedy się oglądnął w stronę domu, tracił odwagę. Jakże by to mógł zrobić teraz, na oczach zatroskanej Bieduszki, wobec całej, ogarniętej strachem wsi? I starał się doszukać w sobie choć iskierki nadziei, że i tym razem wszystko skończy się dobrze. Modlił się splątanymi urywkami ojczenaszów, prosząc Boga o pomoc, w drobiazgach dopatrywał się szczęśliwych znaków. W końcu dotarł do „Anny Marii". Karnet zjeżdżał razem z nim tą samą windą.

— Spokojnie, Franku. Teraz se na jakiś czasik damy spokój!

— Mam tego... trzy kila... — nawet w szepcie nie mógł Milec opanować wzburzenia. Ale Karnet wziął go za rękę, długim, krzepiącym uściskiem potrzymał ją w swojej, jakby i Milcowi chciał dodać swego spokoju:

— Do wieczora poczeka. Wieczór to sprzątniemy.

O pół do dziesiątej przyjechało na „Annę Marię" autem pięciu gestapowców. Komisarz Glaser, prawie z pianą na ustach, wbiegł do kancelarii kierownika.

— Sie Idiot! — ryknął na inżyniera Blaschkego — poznaje pan ten papier? — W spoconej z wściekłości ręce trzymał kawał pogniecionego opakowania z ładunku dynamitowego, z widocznym numerem kontrolnym. Kawał, papieru który wypadł Karasowi z kieszeni, gdy w ciemności wpychał ładunek pod tory. Blaschke zzieleniał z wściekłości.

— Gdzie jest ten chłop z magazynu?

Nie było wątpliwości, że materiał wybuchowy pochodził z „Anny Marii". Robotnicza winda zjeżdżała w dół do pokładu Milca. Blakschkemu tak się trzęsły ręce, że upuścił lampkę. Na pokładzie trafili na dozorcę Balcara.

— Przyprowadź sofort Milca! — zawył Blaschke.

Balcar pobiegł pędem w kierunku załamania chodnika. Z trudem łapiąc dech, dobiegł do magazynu. Franciszek Milec siedział na

słaby. Balcer, chcąc go przyprowadzić do przytomności, musiał nim potrząsnąć. tomności, musiał nim potrząsnąć.

— Franek, rany Boskie, przyszli po ciebie! Uciekaj co tchu, jak ci życie miłe!

I Balcer, sam przerażony, wracał pomału ku końcowi chodnika, wykonawszy z narażeniem życia swój koleżeński obowiązek.

Bóg jeden wie, jaka siła dźwignęła Franciszka Milca do ucieczki. Potykając się wbiegł do przekopu, zanurzył się w mroku opuszczonej sztolni, którą wywoził niegdyś niepotrzebne odpadki, uciekał poprzez straszną ciemność kopalni z tępym wysiłkiem człowieka, który nieodwracalnie zapędził się w ślepą uliczkę. Niewiarogodnie szybko przebiegł półtora kilometra, aż zobaczył znów światło dzienne, podczas gdy Balcar łgał tymczasem gestapowcom, że z Milca nie ma w kopalni ani śladu.

Dopiero na polnej drodze, prowadzącej ku domowi, zdołał Milec pozbierać swoje rozbiegane myśli. Jeżeli ich jeszcze nie ma w chałupie, to przyjdą za pół godziny. To było jasne. Musiał wytężyć wszystkie siły, aby ich uprzedzić w tym ostanim wyścigu, aby ocalić przynajmniej Bietuszkę, aby zniszczyć groźny dowód na dnie szafy.

Przebiegł przez wieś, rozpędzając w biegu spokojne stadka gęsi i jak zwiastun nieszczęścia wzbudzając strach w każdym, kto widział jego szalony pośpiech.

Bietuszka rozpalała ogień pod kuchnią.

— Jest źle... — zdołał jej powiedzieć ostatnim tchem, zanim zupełnie wyczerpany rzucił się na łóżko. Uważnie przytrzymała zapałkę przy podpałce, nie dając się wytrącić ze zwykłej kolejności swej pracy, dokładała do pieca białe świerkowe drewna jedno po drugim, i nie odwracając się do męża, mówiła w stronę rozpalającego się ognia:

— Wpadli na to, co? Dynamit...

Przytaknął cicho. A jego pokorna żona, przed którą przez trzydzieści lat nie miał żadnej tajemnicy, prócz tej ostatniej, rzekła:

— Ja to i tak wiedziałam, Franciszku.

Bał się jej spojrzeć w oczy. Spodziewał się, że będzie biadolić, że ją to złamie, że jeszcze powiększy przepaść rozpaczy, w którą sam wpadł. Ale jej spokojny głos brzmiał teraz jak nadzieja, że jednak może ocaleją.

— Masz coś w domu? — spytała, zamykając drzwiczki pieca.

— Trzy kila... na dole... w szafie...

Zdrętwiały na całym ciele, obserwował ją, jak bierze spod ławki wielki garnek do prania, słyszał metalowe dryngotanie odsuwanych na bok rupieci, widział regularne ruchy jej rąk, którymi wkładała dynamit na dno garnka. Wzięła potem starą spódnicę, wepchnęła ją na wierzch gara, przykryła pokrywą i podniósłszy garnek obiema rękami, oparła go sobie o brzuch.

— Rozbierz się i połóż, udaj, żeś chory. Pójdę to wysypać do stawu, nikomu nic na myśl nie przyjdzie.

Franciszek Milec mechanicznie się schylił ku butom i roztrzęsionymi palcami szukał końców sznurówek. Widział przytem bose nogi Bietuszki, jak plaskają o deski podłogi zmierzające ku drzwiom. Jeden krok, drugi, trzeci. Nagle gwałtowne, odruchowe, pełne zmieszania zatrzymanie, niby u ślepca, gdy uderzy o ścianę.

We drzwiach stali czterej gestapowcy z wyciągniętymi pistoletami. Rzucili się w głąb pokoju i odtrąciwszy Bietuszkę, podbiegli wprost do Milca. Glaser uderzył go na przywitanie metalową rękojeścią w szczękę.

— Wstawaj, łotrze! Teraz nam już nie uciekniesz!

Franciszek Milec, oniemiały ze zdrętwienia, sięgnął do skrwawionej twarzy i z trudem usiłował wstać. A ten go nowym potężnym ciosem zajechał w okolicę skroni.

— Przyznaj się, świnio! Ty kradłeś dynamit!

Wstał po raz drugi. Jak gdyby już odchodził do innego świata, z oczami w słup, przyznał się złamanym głosem:

— Kradłem.

— Franciszku!

Ale ten okrzyk Milcowej nie był głosem rozpaczy. Ani żałośnie szlochającego kobiecego wyrzutu. Była w nim dziwna, pokrzepiająca surowość, która wróciła Milca do życia. Zobaczył znowu Bietuszę, uświadomił sobie, że stoi dotąd koło pieca z garnkiem do prania w rękach, z twarzą we łzach milczącej nienawiści. I naraz zaczęła mu urastać w oczach jak duch, jak straszne widzenie anioła sprawiedliwości. Nie przed tymi obcymi zabijakami, ale wobec niej, wobec Bietuszki, milczącej i pokornej towarzyszki życia, ponosi on, górnik, Franciszek Milec, całą odpowiedzialność.

— Milcz, ropucho, na ciebie także przyjdzie kolej! — ryknął Glaser na Bietuszkę.

— Na wszystkich przyjdzie — odrzekła mu spokojnie — na każdego z nas już wskazuje sprawiedliwy palec boży!

Jeden z gestapowców przyskoczył do niej i trzasnął ją pięścią między oczy. Stęknęła, ale nie upuściła garnka. Ledwie się opamiętała, ledwie tylko chwyciła w bólu oddech, krzyknęła:

— Dobrześ zrobił, Franciszku! Dobrześ zrobił!

Franciszka Milca objął nagle dziwny, jasny spokój. Już nie czuł ani fizycznego bólu, ani fizycznego strachu. Oczami, spod których powiek ściekała krew, patrzył na żonę. Nie na to, jak się zamierzają na nią nowymi ciosami. Na spokojny, zwykły i przecież tak charakterystyczny ruch doświadczonej gospodyni, z jakim postawiła nagle garnek do prania na środku gorącej blachy paleniska.

Ot, i rozsądzono!

Nie oni, nie ci, dręczący ciało i duszę, ale jego własna żona osądziła i wykonanie jej wyrok, przybliża się z każdą sekundą. Opadła go żądza człowieka po raz pierwszy w życiu wolnego i pewnego siebie, aby im powiedzieć w oczy swoją prawdę, wyśmiać się z ich ślepej wściekłości. Gdy go obalali na ziemię, krzyczał im w twarz:

— Kradłem! Kradłem! Pięćdziesiąt kilo tymi rękami ukradłem! I będą wylatywać, znowu będą pociągi wylatywać w powietrze! Wszystko wyleci! Wszystko wyleci!

Gestapowcy, zdumieni tak niezwykłym uporem, zagnali oboje starych do kąta pokoju. Kopali ich, bili po twarzy i przez głowy gumowymi pałkami, powalili na ziemię i zaczęli po nich rypać butami. Ale nie mogli zabronić, by się ci dwoje katowani nie objęli rękami, aby się nie wszczepili ze straszliwą siłą w siebie nawzajem, starymi palcami, aby nie odchodzili ze świata wiernie złączeni. I kiedy gestapowcowy już zmęczyło ich własne pastwienie się, kiedy na moment przerwali bicie, nad nieprzytomnym Milcem uniosła się głowa jego żony i jej rozbite usta wyrzekły swoje ostatnie zdanie: — Tego nam Pambuczek nie weźmie za złe, jak takie bestię... zabijemy!

Było to na sekundę przed tym, zanim pochłonęło ich straszne światło wybuchu, który wykonał wyrok Milcowej.

d. c. n.

KSIĄŻKI

Władysław Broniewski: Bagnet na broń". Wydawnictwo J. Mortkowicza i Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Kraków—Warszawa 1946. Stron 48.

Władysław Broniewski: „Drzewo rozpaczające". Wydawnictwo J. Mortkowicza i Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Kraków — Warszawa 1946. Stron 92.

Poprzez dziesiątki lat realizowany konsekwentnie w życiu i poezji światopogląd socjalistyczny zdyscyplinował wiersze **Władysława Broniewskiego,** upodobniając je do komunikatów z frontu walki klasowej czy też z pola bitwy. Że jednak nigdy nie były te utwory pozbawionymi artyzmu agitkami — niech świadczy chociażby fragment jednego z dawnych wierszy Broniewskiego p.t. „Poezja":

Jest gdzieś radość ludzka, zwyczajna,
jest gdzieś jasne i piękne życie.
Powszedniego chleba słów daj nam
i stań przy nas i rozkaż — bić się.

Działalność poetycka Broniewskiego wypadła głównie w czasie, w którym reprezentowana przez niego ideologia hartowała się w zmaganiach z wrogami postępu społecznego. Zbliżająca się druga wojna światowa, chwilowe zwycięstwa faszyzmu w różnych krajach — wszystko to nastrajało poetę poważnie, lecz nie spychało go w wir katastrofizmu. Rzucał trwade hasło: „Walka za nami. Walka przed nami" — i jako jedyną odpowiedź znajdował słowa:

W pierś niech biją młotem — nie pęknie.
Zatnij usta, choć w ustach krew.
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej.
Będzie radość i będzie śpiew.

Wydane ostatnio dwa zbiory poetyckie Władysława Broniewskiego, obejmują wiersze z lat wojny. Utwory te powstały w czasie pobytu poety na emigracji, w Związku Radzieckim i na Bliskim Wschodzie — szczególnie w Persji i w Palestynie. Odbijają się w tych mocnych strofach echa wrześniowej klęski, odbijają się echa bohaterskich walk pod Narvikiem czy Monte Cassino. Wsławiony przedwojennymi wierszami rewolucyjnymi, poszerza teraz Broniewski teren swych osiągnięć przez wygrywanie nuty narodowo-żołnierskiej. Czyni to również pięknie. Dowodem najczystszego patriotyzmu jest tytułowy wiersz zbioru **„Bagnet na broń".** Bo choć międzywojenna niepodległość nie dawała prawdziwej wolności, trafne było stanowisko ludzi pracy w momencie, gdy niebezpieczeństwo niemieckie stało się w 1939-ym roku faktem:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączamy ją z piersi i pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb!!!
Za tę dłoń wyciągniętą nad Polską —
kula w łeb!

Wiersze o takim obliczu ideowym przemawiają do nas mocno z kart obydwu zbiorków. Rozsiane częściej na stronach **„Drzewa rozpaczającego"** liryki osobiste nie mają może tej siły porywania czytelnika, co utwory o tematyce społeczno-narodowej. Władysław Broniewski jest bowiem przede wszystkim poetyckim trybunem ludzi pracujących i walczących. Przytoczmy na zakończenie fragment wiersza „Do poezji", w której, jak przed laty, widzi artysta najwłaściwszy dla siebie środek walki o nowe oblicze świata:

Wiele razy los mnie oszukał,
ale tyś najwierniejsza z gwiazd,
całe życie płynę i szukam
w oceanie ludzi i miast,

całe życie jestem na froncie
Ikarowy zacząwszy lot,
jak samolot z tych nieb mię strącisz,
żebym spadł jak miażdżący młot,

żebym runął sercem płonącym,
jak przedwiecznej legendy ptak:
obietnica umierającym,
a walczącym — bojowy znak.

Adam Włodek.

MŁODZIEŻ CZECHOSŁOWACKA



FOTO PIROTTE













Przez długie lata Czechosłowacja była dla nas nieznanym krajem. Tę obojętność wobec siebie przepłaciły oba kraje latami okupacji niemieckiej. Tego błędu więcej już nie powtórzymy: nauczeni doświadczeniem lat wojny, szukamy u siebie nie tylko przedmiotów do kupienia i rynków zbytu, szukamy również wzajemnej sympatii i — znajdujemy ją.

Oto twarze młodzieży Czechosłowackiej. Chłopcy i dziewczęta w strojach narodowych, w kostiumach sportowych, przy pracy, nauce i w marszu. Dużo jest w Czechosłowacji pogody i radości życia i dużo jest zbiorowych mogił pomordowanych zakładników. Dużo jest pięknych, bogatych miast i dużo jest gruzów. Dużo zieleni i dużo pracy w polu. Podobnie jak w Polsce.

Młodzież czechosłowacka, podobnie jak młodzież polska, pracuje nad odbudową ojczyzny i gotowa jest do jej obrony.

Młodzież polska zasyła serdeczne pozdrowienia dla młodzieży czechosłowackiej.

T. B.

Marijore Kinnan Rawlings

Roczniak

Przekład autoryzowany Adama Galisa **19)**

Stara Julia nie wróciła jeszcze całkowicie do siebie. Wyciągnęła się na boku. Zagojone pamiątki bojów, blizny, odcinały się wyraźnie na tle ciemnej skóry. Penny położył się na wznak. Powiedział leniwie:

— Jeśli się wiatr nie zmieni, powrócą tu obydwa jelenie na nocleg. Myślę, że na jednej z tych wielkich sosen, o kwadrans drogi stąd w kierunku wschodnim, miałbyś doskonałe stanowisko.

Jody wziął fuzję i ruszył w drogę. Oddałby wszystko w świecie byle tylko móc własnoręcznie ustrzelić jelenia.

Penny krzyknął za nim: — Nie strzelaj ze zbyt wielkiej odległości. Nie spiesz się i nie pozwól żeby cię fuzja zrzuciła z drzewa!

Pośród pustej płaszczyzny, porosłej gdzieniegdzie krzakami galasówki wznosiły się potężne, choć rzadko rozsiane sosny. Jody wybrał sobie jedną, która umożliwiała obserwowanie dużej przestrzeni. Wszelkie żywe stworzenie przechodzące tą drogą, musiałoby się znaleźć w polu widzenia. Nie łatwe było wdrapać się po gładkim pniu, mając do tego jeszcze strzelbę w ręku. Zanim dotarł do najniższych gałęzi, już sobie otarł skórę na łydkach i kolanach. Odpoczął chwilę i wylazł tak wysoko jak mu tylko odwagi starczyło, omal pod sam wierzchołek drzewa. Sosna chwiała się pod naporem prawie niewyczuwalnego wiatru. Zdawało się, że drzewo żyje i oddycha.

Jody przypomniał sobie niedźwiadki, które huśtały się na drzewie. Rozkołysał gałąź, na której siedział, a drzewo mocno obciążone jego wagą i fuzją zatrzeszczało ostrzegawczo, więc dał spokój. Rozejrzał się dokoła. Rozumiał teraz, co czuje jastrząb gdy spogląda na świat z wysokości swego lotu. I orzeł patrzył chyba w dół jak on, Jody, spoglądał teraz na ziemię z wysoka, mądrym okiem drapieżcy. Jody zakreślił głową mały krąg. Po raz pierwszy mógł uwierzyć, że świat jest okrągły. Obracając szybko głową mógł widzieć nieomal równocześnie cały horyzont.

Sądził, że ma w obrębie spojrzenia całkowitą przestrzeń dokoła. Toteż przeraził się gdy niespodzianie doszedł go odgłos ruchu. Nie widział bowiem niczyjego zbliżania się. Wielki jeleń pasł się, idąc w jego stronę. Zajadał dojrzałe jagody. Znajdował się jednak poza zasięgiem strzału. Jody pomyślał, że może należałoby zejść ze sosny i skraść się w pobliże jelenia, lecz wiedział, że zwierzę znacznie szybsze od niego ucieknie, zanim jeszcze myśliwy zdąży wycelować. Mógł więc tylko czekać i modlić się o to, by jeleń w trakcie żywienia podszedł nieco bliżej. Zwierzę poruszało się z dręczącą powolnością.

Przez chwilę Jody przypuszczał, że jeleń ma zamiar skierować się w stronę południową. Nagle jednak zwierzę zmieniło kierunek i szło wprost na sosnę Jodyego. Jody oparł fuzję o podpórkę z gałęzi. Serce łomotało w piersi. Żadnym sposobem nie potrafiłby teraz z zimną krwią ocenić odległości między sobą a jeleniem. Jeleń wydawał mu się olbrzymi, a jednak Jody zdawał sobie sprawę z tego, że nie widzi wyraźnie jego uszu i oczu. Chwila oczekiwania dłużyła się nieskończenie. Jeleń podniósł głowę. Jody wybrał sobie na szerokim karku zwierzęcia cel. Wystrzelił. W tej samej sekundzie doszedł do wniosku, że błędnie obliczył wysokość i nie uwzględnił tego, że znajduje się ponad jeleniem. Przeniósł. A jednak wydawało mu się, że chyba trafił, bowiem jeleń jakoś niezdarnie skoczył w górę, inaczej niżby to uczynił tylko ze strachu. Przeskoczył krzaki wysokim skokiem, i pobiegł kołysząc się dziwacznie w biegu. Minął sosnę Jodyego i uciekał dalej niepewnym, rozchwianym krokiem. Jody nie mógł odżałować, że nie ma w tej chwili dubeltówki ojca. Wystrzeliłby po raz drugi. Po paru sekundach usłyszał huk wystrzału. Poznał strzelbę Pennyego. Zlazł z drzewa i poszedł w stronę miejsca porosłego gęstymi burzanami. Jeleń leżał pod dębem. Penny zaczął go już oprawiać.

— Czy trafiłem go? — krzyknął Jody.

— A jakże, doskonale się spisałeś. Dość było tego jednego strzału, ale dla wszelkiej pewności i ja strzeliłem również. Za wysoko wylazłeś na drzewo.

— Zrozumiałem to dopiero w sekundę po wystrzale.

— I to dobre. Tylko w ten sposób można się nauczyć. A na przyszły raz będziesz wiedział. Popatrz, tu jest twój strzał, a tutaj mój.

Jody ukląkł i badawczym spojrzeniem objął wielkie zabite, cielsko. Niewyraźnie mu się zrobiło na widok oczu zwierzęcia zaszłych mętnym szkliwem i okrwawionej szyi.

— Wolałbym, żebyśmy mieli mięso bez zabijania — powiedział.

— I ja mocno go żałuję, ale co zrobić? Musimy jeść!

Penny uwijał się żwawo. Chociaż jego płaski nóż myśliwski nie był zbyt ostry, poradził sobie Penny z wycięciem mięsa i oddzieleniem ciężkiej głowy jelenia. Odarł zwierzę ze skóry aż po kolana, położył na krzyż nogi jelenia i związał je, a potem przesunąwszy ramiona przez związane członki zwierzęcia, dźwignął ciężki kadłub na grzbiet i poniósł.

— Boyles będzie miał ochotę na tę skórę jeżeli mu ją zaniesiemy do Volussi — powiedział — ale gdybyś chciał podarować skórę w upominku babci Hutto, to odmówimy Boylesowi.

— Myślę, że babcia ucieszyłaby się bardzo gdyby dostała od nas skórę na dywan. Dałbym chętnie babci, gdyby to była moja własna zdobycz.

— Przecież tak jest właśnie. Skóra należy do ciebie. A ja zaniosę babci sporą ćwiartkę mięsa, jako moją część. Bo i któż może dla nie zapolować od czasu, kiedy Oliwer poszedł do marynarki, jeśli nie my?... Ten głupi jankes co się koło niej plącze pojęcia nie ma o myśliwstwie. — Niewinnym tonem dodał Penny po chwili: — A może wolałbyś zanieść skórę twojej ukochanej?

Jody żachnął się.

— Wiesz, tato, dobrze, że nie mam żadnej ukochanej.

— Nie wypierasz się chyba Eulalii, sam widziałem własnymi oczami jakeście się trzymali za ręce na zabawie.

— Wcale nie trzymałem! To była taka gra. Jeżeli jeszcze raz to powiesz, padnę trupem.

Penny rzadko dokuczał synowi, ale od czasu do czasu aż się napraszała nieodparta sposobność.

— Babcia jest moją ukochaną! — powiedział Jody.

— Pięknie. Chciałem się właśnie upewnić jak się rzecz ma z tą sprawą.

Płaszczysta droga dłużyła się ogromnie i zionęła żarem. Penny spocił się, ale spokojnie niósł dalej swój ciężar.

— Dałbyś mi trochę ponieść — powiedział Jody. Lecz Penny kiwnął przecząco głową.

— Taka tusza przylega tylko do męskich pleców — powiedział.

Przeszli wbród rzeczkę Juniper, a potem po dwóch milach bocznej drogi, weszli na trakt wiodący w stronę rzeki i osady Volusja. Penny zatrzymał się wreszcie dla odsapnięcia. Późnym popołudniem minęli dom kapitana Mac Donalda, skąd prosty był wniosek, że byli już niedaleko fortu Butlera. Za zakrętem drogi zarośla ustąpiły miejsca łączkom, na których rosła soczysta trawa. Gdzieniegdzie znajdowały się drzewa eukaliptusowe oraz krzaki wawrzynu, a cyprysy były drogowskazem, oznajmiającym bliskość rzeki. Późno kwitły w niziznach dzikie azalie, a wzdłuż drogi podniósł kielichy bezlik najprzeróżniejszych kwiatów.

Dotarli wreszcie do rzeki św. Jana. Rzeka była mroczna i obca. Obojętna na piękno otaczających ją brzegów, nie zwracała uwagi na ludzi, którzy się nią przeprawiali, tocząc swe wody w stronę oceanu. Jody zapatrzył się w rzekę. Była ruchomą ścieżką wiodącą w świat. Penny huknął na przewoźnika, obsługującego prom w Volusji. Przejechał po nich człowiek, kierujący zwykłą tratwą z nieociosanych bali. Przebyli rzekę, patrząc w milczeniu na łagodny prąd fali. Penny zapłacił przewoźne. Poszli pod górę wijącą się dróżką, prowadzącą wprost do sklepu Boylesa.

Penny okrzyknął właściciela: — Jak się pan miewa, panie Boyles? Co pan powie na to stworzenie?

— Zbyt dobre jak dla kuchni na statku. Ale kapitan kupi.

— Ile mięso warte?

— Ta sama cena. Półtora dolara za ćwierć. Przysięgnę, te mieszczuchy tłukące się statkami w dół i w górę rzeki rwą się o kawałek dziczyzny, a my przecież obydwaj dobrze wiemy, że wieprzowinka jest dwa razy lepsza.

Penny dźwignął jelenia na wielki pień rzeźnicki i rozpoczął patroszenie.

— Tak — zgodził się — ale taki pan miastowy jest zbyt zażywny, żeby sobie upolować i chyba dlatego właśnie ma dziczyzna dla niego swój urok.

Roześmieli się. Penny był w sklepie mile widzianym gościem. Bardziej nawet dla jego humoru i opowieści, niż z przyczyn handlowych. Boyles był wśród mieszkańców miasteczka najwyższym autorytetem, sędzią, mentorem i encyklopedią. Stał właśnie w mocno pachnącym mroku sklepu jak dowódca statku na kapitańskim pomoście. Sklep wypełniony był najróżnorodniejszymi towarami jakich wymaga życie na głuchej prowincji; od najniezbędniejszych dla gospodarki, aż do skromnych przysmaków i łakoci. Od pługów, wozów, bryczek i narzędzi począwszy, a kończąc na konserwach, wódce i żelaziwie, oraz wyrobach włókienniczych, norymberszczyźnie i lekarstwach.

— Jedną przednią ćwiartkę zabiorę u pana jutro, bo to dla mojej żony. Druga jest dla babki Hutte. Niech Pan Bóg ma w swej pieczy jej starą duszyczkę — rzekł Boyles — ale właściwie dlaczego użyłem wyrażenia „starą"? Nie wiem! Ktokolwiek miałby małżonkę o duszy tak wiecznie młodej jak babci Hutto, tego życie byłoby jednym świętem.

Jody powędrował przez sklep wzdłuż oszklonego kontuaru. Leżały tam słodkie ciastka i cukierki. A tuż obok znajdowały się noże Barlowa i Rogersa opodal sznurowadeł, guzików, igieł i nici. Tańsze gatunki towarów porozmieszczane zostały na półkach wzdłuż ścian. Jak dziwaczne ptaki gnieździły się tam obok siebie kubły i dzbany, lampy tłuszczowe i miednice, nowoczesne lampy naftowe, maszynki do kawy, żelazne rondle i piecyki. Po przeciwnej ścianie rozłożyły się na półkach materiały odzieżowe, jak perkale i flanele, półsukna i samodziały. Kurz pokrył kilka bel alpagi i jedwabiu. Mało tu się sprzedawało droższych towarów, szczególnie letnią porą. W bocznej części sklepu był dział korzenny, spożywczo-kolonialny. Pachniało tu szynkami, serami i słoniną. Pod ścianą piętrzyły się baryłki, cukru, mąki i kasz a obok nich stały wielkie wory z kartoflami beczki syropu i baryłki wódki. W tej części sklepu nie było dla Jodyego nic ciekawego, powrócił więc do oszklonego kontuaru. Zauważył teraz dopiero zardzewiałe organki, leżące na kupie butelek. Tknęła go na chwilę ochota, by sprzedać skórę jelenią i kupić organki. Mógłby zagrać babci Hutte lub wtórować przy okazji Forresterom. Lecz babcia wolałaby na pewno skórę jelenia. Boyles zwrócił się niespodzianie do Jodyego:

— Kawalerze, twój ojciec nie zbyt często przychodzi tu po zakupy. Funduję ci na co masz ochotę, w cenie dziesięciu centów.

Jody spojrzał łakomie po wielkim wyborze przedmiotów.

— Przypuszczam, że organki kosztują więcej niż dziesięć centów?

— Tak, ale wyleżały się już tutaj dość długo. Weź je sobie na zdrowie.

Jody pożegnał spojrzeniem słodycze. Pocieszył się w myśli tym, że babcia Hutto na pewno będzie miała jakieś smakołyki dla niego.

UWAGA na Niemcy!



Nic się nie zmieniło — kult mundurów kwitnie.

CO ROBI MŁODZIEŻ NIEMIECKA

Jedno z pism niemieckich, przeznaczonych dla młodzieży (Horizont Nr. 7), zamieściło alarmujący artykuł, w którym zwraca uwagę, że dwa lata po upadku Trzeciej Rzeszy więcej jest hitlerowców wśród młodzieży aniżeli za czasów Hitlera. Młodzi Niemcy stają się znowu narzędziem agitatorów hitlerowskich, głoszących hasła zemsty i odwetu. Pismo to zapomniało jednak dodać — lub raczej rozmyślnie pominęło milczeniem fakt, że na obszarze Niemiec zachodnich wychowywanie młodzieży na wszystkich szczeblach szkolnictwa odbywa się właśnie w duchu hitlerowskiego nacjonalizu.

W nowym planie szkolnym dla uczelni wyższych w Nadrenii i Westfalii wprowadza się ćwiczenia fizyczne, zakazane przez Sojuszniczą Radę Kontrolną, m. in. szermierkę i strzelanie. Jednocześnie tamtejszy minister wychowania publicznego żąda, aby podczas ćwiczeń kultywowano pieśni żołnierskie, polecając szczególnie śpiewanie przy odgłosie piszczałek i łoskocie werbli t.zw. lancknechtlliedu, którego wojownicza treść, wzywająca do ofiar na rzecz ojczyzny, ma podnieść na duchu młodzież niemiecką, pozbawioną — jak mówi ministerialny okólnik — wskutek klęski Niemiec, jakiegoś wzniosłego ideału.

W czasie ostatnich wyborów samorządowych w strefach zachodnich partie t.zw. chrześcijańskiej i liberalnej demokracji (CSU, LDP, FDP) posługiwały się w apelach, skierowanych do młodzieży, sloganami z arsenału propagandowego Goebbelsa. W wielu miejscowościach — o czym doniósł demokratyczny dziennik berliński „Berliner Zeitung" — agitowano afiszami, na których wielkimi zgłoskami: „An die Hitlerjugend" — wzywano młodzież do głosowania na partie prawicowe.

W Monachium utworzony został z inicjatywy amerykańskiej „dom przyjaźni" (Haus der Freundschaft) dla dziewcząt niemieckich od 16—23 roku życia, w którym młode Niemki mają możność zaprzyjaźnić się z rówieśniczkami amerykańskimi.

W Bremie zorganizowano kluby młodzieżowe, w których trenerzy amerykańscy uczą Niemców wszelkich rodzajów sportu, m. in. pięściarstwa, zapaśnictwa itp.

W Hamburgu według ostatnio opublikowanej statystyki wzrosła ogromnie przestępczość wśród młodzieży. Miesięcznie odbywa się ok. 3.500 rozpraw, z czego 10 proc. dotyczy dziewcząt. Wiek młodocianych przestępców wynosi przeciętnie 15 lat.

W Berlinie rozgłośnia radiowa sektora amerykańskiego (RIAS) zaprosiła młodzież na dyskusję w sprawie programu radiowego. Zebrani przedstawiciele organizacyj młodzieżowych wypowiedzieli się jednogłośnie przeciwko literaturze klasycznej i muzyce poważnej. Żądano (!) wypełnienia 70 proc. programu muzyką taneczną.

Organ ewangelickiego biskupstwa berlińskiego „Die Kirche" (Nr. 22) wydrukował charakterystyczne spostrzeżenia nauczycielki religii w szkołach Berlina. Autorka stwierdza, że spośród 120 dzieci, których na ten temat pytała, tylko 18 słyszało imię Jezus i tylko 7 wiedziało, że urodził się w stajence betlejemskiej. Druga rzecz, która wstrząsnęła nauczycielką, to ogromne uświadomienie seksualne wśród dzieci. Dziewczęta już od 11 roku życia czynią uwagi o tych sprawach, a chłopcy od 7 roku. Zdziczenie i rozwydrzenie młodzieży niemieckiej w Berlinie jest przerażające.

W Westfalii w miejscowości Rahden pomalowano dom obywatela żydowskiego R. Franka swastykami i podpalono jego samochód. Richard Frank przebył 5 lat w obozie koncentracyjnym w Buchenwald.

W miejscowości Bothfeld koło Hanoweru zniszczono nagrobki na cmentarzu żydowskim i ograbiono kaplicę cmentarną.

W czasie jednej z obław w Berlinie ujęto kilkaset młodocianych wyrostków, którzy organizowali napady rabunkowe i morderstwa z bronią w ręku. W czasie śledztwa 15 proc. ujętych przyznało się, że należą do „Werwolfu", organizacji faszystowskiej, kierowanej przez profesora (studienrat) Kleppe, Jungstahlhelm i Hitlerjugend. 80 proc. oświadczyło, że sympatyzują z ruchem podziemnym, a tylko 5 proc. odpowiedziało, że uważa się za „bezpartyjnych".

15-letni czytelnik dwutygodnika amerykańskiego dla Niemców „Heute" (Nr 32) w liście do redakcji pisze: „Jak większość młodzieży niemieckiej jest głęboko przekonany, że 75 proc. wszystkich wynalazków na świecie pochodzi z niemieckich umysłów. Żaden inny naród na świecie nie dorasta do poziomu naszego wielkiego narodu".

Na zjeździe studentów w Hamburgu, w którym brali udział przedstawiciele uniwersytetów strefy brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej, jeden z referatów miał wygłosić przedstawiciel młodzieży z Hamburga. Przewodniczący nie omieszkał zaznaczyć z naciskiem, że referent jest socjalistą. Zebrani studenci okrzykami, gwizdaniem i szuraniem nogami nie pozwolili mu dojść do głosu. W rezolucjach zażądano dopuszczenia do studiów wszystkich b. aktywnych oficerów i wprowadzenie do oficjalnego programu wychowania fizycznego szermierki na szable.

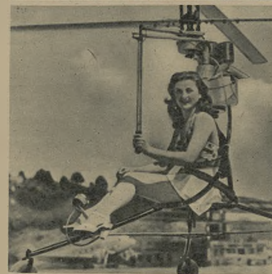
Na uniwersytecie w Erlangen kolportowano ostatnio ulotki, wzywające do zachowania wierności dla ideologii hitlerowskiej „Nadejdzie dzień — głosi ulotka — w którym duch naszych wielkich wodzów wezwie całe Niemcy do walki i pomsty za niezawinioną klęskę. Wydarte nam zdradziecko ziemie przywrócimy znowu ojczyźnie niemieckiej".

Powyższa mozaika faktów stanowi wymowny obraz ducha, jaki panuje wśród młodzieży niemieckiej na obszarze Niemiec Zachodnich. Nawet na chwilę nie możemy osłabiać naszej czujności.



Niemiecka młodzież na włóczędze

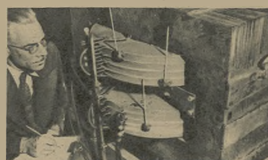
NOWOŚCI TECHNIKI



Enid Taylor, entuzjastka lotnictwa, na najmniejszej maszynie latającej typu „Helicopter".



Kolejka dziecięca, która kursuje między Romney, Hythe i Dymchurch (Anglia), zderzyła się z traktorem. Oto — w kilka minut po katastrofie. FOTO SAP



Technik laboratorium Generalnego Towarzystwa elektrycznego w Shenecktady (USA) odnotowuje stan termometru na pracującym modelu nowego synchro-cyklotrowego magneta, trzykrotnie silniejszego niż najpotężniejsza w świecie maszyna do rozbijania atomu.



Praga Czeska produkuje nowy typ motocykla t.zw. „dwieściepięćdziesiątkę. Oto młoda robotnica zakłada przednie koło do tej najnowocześniejszej maszyny.

Z FOTOGRAFIKI POLSKIEJ



„Łódź"

FOTO K. WAWRZYNIAK

Trzecia z rzędu wystawa fotografiki urządzona z inicjatywy niestrudzonego Stowarzyszenia Miłośników Fotografiki w Poznaniu poziomem i tematyką swych eksponatów znacznie przewyższyła poprzednie. Stwierdzić należy, że I Ogólnopolska Wystawa Fotografiki spełniła rolę wystawy reprezentacyjnej, skupiając prace artystów-fotografów z całego kraju. Pozwoliła ona również nawiązać zerwane przez lata wojny nici łączności między wyznawcami piękna światłocienia. Obecnie wystawa jedzie za granicę, najpierw do Bułgarii i Szwajcarii.

Zwiedzając wystawę nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że fotografika nasza wciąż jeszcze błądzi, nie mogąc znaleźć właściwego sobie „fotograficznego" oblicza. Większość obrazów cechuje przedwojenny impresjonizm, aczkolwiek nie brak i pomysłów nowatorskich. Fotografia jest bowiem sejsmografem dnia dzisiejszego, który przez pryzmat osobowości fotografującego rysuje obraz będący niezaprzeczonym urywkiem życia. Nawet w swej brzydocie życie widziane oczami artysty jest estetyczne i piękne. Chodzi tylko o zachowanie właśnie owej „fotograficzności" obrazu.

Nie wątpię, że sześć nagród, które zostały ufundowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz przez S. M. F. a wręczone autorom sześciu najlepszych prac będą jeszcze jednym bodźcem dla fotografów całej Polski do zwiększenia pracy nad sobą i swoją sztuką.

Zdjęcia, których reprodukcje widzimy obok, należą do prac wyróżnionych. W najbliższych numerach opublikujemy jeszcze kilka innych prac, aby zorientować Sz. Czytelników o dzisiejszym stanie naszej fotografiki.

Jerzy M. Jaraczewski



Krajobraz FOTO T. WAŃSKI



Pod murami getta FOTO W. URBANOWICZ





POCZTA Z ANGLII

Wśród wielu listów, które znalazły się w ubiegłym tygodniu na biurku redaktora „Świata Młodych" wyróżniały się dwie wielkie koperty, nadesłane z Anglii.

W jednej kopercie znajdował się egzemplarz czasopisma „Art and Industry" — „Sztuka i przemysł" z artykułem poświęconym twórczości spółki artystycznej Levitt — Him. Przed kilkunastu laty znane były w Polsce ich prace graficzne, plakaty, okładki do książek („Zazdrość i medycyna") rysunki do „Lokomotywy" Tuwima. Któregoś dnia utalentowani grafi[illegible] i malarze wylądowali w Anglii. Dziś są znani, honorowani i popularni.



Ich kompozycje przemawiają do angielskiego poczucia humoru. Anglik bawi się, patrząc na taki mecz piłkarski lub na fantastyczny pomysł zrobienia z kibiców piłkarskich liściastej korony drzew rosnących w pobliżu boiska.

Zupełni inny rodzaj malarstwa polskiego w Anglii reprezentuje obrazek nadesłany przez ob. Zdzisława Banaszkiewicza. W liście do redakcji „Świata Młodych" ob. Banaszkiewicz pisze „...Chętnie będę mógł od czasu do czasu przesłać coś aktualnego z życia Polaków na obczyźnie. Jako na próbę załączam jeden z mych szkiców, zrobionych naprędce, zatytułowany „Niezdecydowany".

Reprodukujemy szkic ob. Banaszkiewicza.

To nie fantastyczne podskoki piłkarzy na meczu angielskim i nie kibicowanie na gałęziach drzew. To smutna rzeczywistość niezdecydowanych, którzy usiadłszy na urwiskach Szkocji, patrzą na morze, dzielące ich od ojczyzny. To jest naprawdę „coś aktualnego z życia Polaków na obczyźnie", jak pisze autor, ob. Banaszkiewicz, w swym liście.

Chciałoby się tylko zapytać utalentowanego malarza, czy to przypadkiem nie jest jego autoportret i czy długo jeszcze zamierza tak siedzieć nad Morzem Północnym, nasłuchując poszumu dalekiej bałtyckiej fali?

Z prawdziwą przyjemnością otrzymalibyśmy w następnej poczcie z Anglii już tylko jedną wielką kopertę, zaadresowaną przez ob. Banaszkiewicza z jego ostatnim dziełem tytułowanym „Zdecydowany"

(G.)



Karol Čapek



Psy i Koty



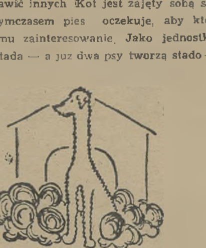
Robiłem staranne spostrzeżenia i mogę z całą stanowczością stwierdzić, że pies nigdy nie bawi się, gdy jest sam. Pies pozostawiony samotnie jest, rzec można, zwierzęco poważny. Jeśli nie ma co robić, ogląda się, medytuje, śpi, łapie pchły, skubie cokolwiek — obojętne, czy będzie to stara szczotka, czy twoje nowe ranne pantofle — ale nie bawi się. W czasie, gdy jest sam nie będzie próbował łapać swego ogona, ani zataczać kręgów po podłodze, ani nosić kija w pysku, ani też popychać kamieni przed sobą, do tego wszystkiego potrzebuje widza, partnera, kogoś kto z nim współdziała, przed kim może popisywać się swoimi dzikimi skokami. Jego zabawa jest wyrazem radości przeżytej z kimś drugim. Także macha ogonem wtedy, gdy napotyka na istotę o podobnym nastroju — bez względu na to, czy będzie to pies, czy człowiek! Zaczyna się bawić, gdy tylko ktoś bawi się z nim, albo mu się przygląda. Bywają psy bardzo wrażliwe, które natychmiast męczą się zabawą, gdy się na nie nie zwraca uwagi. Wydaje się, że pies znajduje przyjemność w zabawie dopóty, dopóki mu się towarzyszy. Krótko mówiąc pies potrzebuje przyjaznego kontaktu z jakąś żywą istotą: to jest związane z jego towarzyską naturą.

W przeciwieństwie do tego kot zaczyna się bawić zarówno na skutek danej mu podniety, jak i wtedy, gdy jest sam. Bawi się dla siebie, w swój specyficzny i indywidualny sposób. Można go zamknąć samego, a wystarczy mu kłębek wełny, frendzel, czy kawałek zwisającego sznurka, aby rozpoczął pełną wdzięku, cichą zabawę. Gdy się bawi, nie wygląda na to, że mówi: „Człowieku, jakże jestem zadowolony z twojej obecności"! Kot bawi się dla siebie samego. Pies pragnie w jakiś sposób zabawić innych. Kot jest zajęty sobą samym, tymczasem pies oczekuje, aby ktoś okazał mu zainteresowanie. Jako jednostka psiego stada — a już dwa psy tworzą stado — prowadzi szczęśliwe psie życie. Kiedy goni własny ogon, zerka uważnie na widza, co też on na to powie. Tego kot nie zrobiłby nigdy: wystarcza mu zupełnie rozweselanie siebie samego. Może to właśnie jest istotną przyczyną, dlatego nie oddaje się zabawie z taką namiętnością i zapamiętałością, która doprowadza psa do utraty tchu. Kot jest wyższy ponad to, wygląda zawsze, jakby łaskawie i z pogardą poniżał się do tego, by rozweselać się samemu. Pies oddaje się całkowicie zabawie, u kota zabawa zdaje się zależeć od jego humoru.

Można by to wyrazić w ten sposób: koty pokrewne są ironiście, który sam w sobie odkrywa wesołość, bawią się pogardliwie zarówno człowiekiem jak i przedmiotami, ale tylko dla swego własnego, prywatnego zadowolenia. Psy powstały z rodzaju humorystów, są dobrodusznie usposobione i trochę ordynarne, jak człowiek szafujący anegdotami, który bez publiczności zginąłby z nudów. Pies bierze całkowity udział w każdej zabawie po prostu z poczucia towarzyskości, pęka z zapału, kiedy chodzi o wspólną zabawę. Kotu wystarcza zadowolenie osobiste, pies — przeciwnie, pragnie mieć powodzenie.

Kot jest subiektywistą. Pies żyje w świecie towarzyskim i dzięki temu obiektywnym. Kot jest mistyczny, jak zwierzę. Pies prymitywny, jak istota ludzka. Kot ma w sobie coś z estety. Pies jest, jak zwykły człowiek, albo też, jak człowiek twórczy. Coś w nim zwraca się do otoczenia. Nie żyje tylko dla siebie podobnie, jak aktor, który nie mógłby istnieć tylko dla siebie, jak poeta, który musiałby pisać wiersze tylko dla siebie, jak malarz, który nie potrafiłby malować obrazów po to, by je po prostu postawić pod ścianą. W każdym rodzaju zabawy, której istota ludzka oddaje się duszą i ciałem, tkwi moment wymagający współudziału i zainteresowania ze strony całego, wielkiego, życzliwie usposobionego ludzkiego stada.

K.

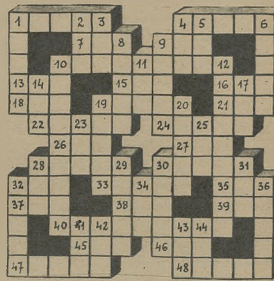




Rysunki K. Čapka

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) Inaczej „sprawunek"; 4) Część oka; 7) Przewaga, ustępstwo dane komuś; 9) Biblijny ogród rozkoszy; 10) Służy do ogrzewania mieszkania; 13) Tytuł turecki; 15) Roślina używana w przemyśle włókienniczym; 16) Uprzywilejowana karta w grze; 18) Prawy dopływ Wisły; 19) Roślina ogrodowa, rosnąca we Włoszech, której liście posłużyły do wielu ornamentów; 21) Nakrycie głowy; 22) Inaczej „z dalekiej odległości"; 24) Francuskie miasto portowe nad morzem Śródziemnym; 26) Jednostka pracy; 27) Rzeka w Niemczech; 28) Duńska wyspa, słynna z przeprawy hetmana Czarnieckiego; 30) Sceniczny utwór taneczny; 32) Odłam lodu; 33) Ustępstwo od ceny towarów; 35) Przyrząd gimnastyczny; 37) Niewolnik; 38) Członek wyższej izby w Anglii; 39) Imię męskie; 40) Układy, pertraktacje; 45) Inaczej „uspakaja, uśmierza, łagodzi"; 46) Faza księżyca; 47) Gatunek gładkiego, lśniącego jedwabiu; 48) Część drzewa.

Pionowo: 1) Zbiór rzeczy przygotowanych i zachowanych do późniejszego użycia; 2) Stolica autonomicznej republiki baszkirskiej (Z.S.R.R.); 3) Poeta polski, autor „Pieśni o naszej ziemi"; 4) Angielskie lotnictwo wojskowe w skrócie; 5) Inaczej „skonsumuje, spożyje"; 6) Gatunek dyni; 8) Nieduża ilość papieru lub materiału, zwiniętego w wałek; 9) Rura do odprowadzania wody deszczowej; 10) Świecznik o kilku ramionach; 11) Matka Zeusa, uosobienie natury; 12) Zakład przemysłowy do oczyszczania produktów; 14) Ciało lotne; 17) Zaimek wskazujący; 19) Jeden z największych portów afrykańskich nad morzem Śródziemnym; 20) Treść, przedmiot omawiany; 23) „Sztuka" w języku martwym, 25) Zamierzony skutek działania; 28) Gatunek papugi; 29) Inaczej „ugasi pragnienie"; 30) Zwierzę domowe; 31) „Herbata" w języku obcym; 32) Największa wyspa grecka; 34) Inaczej „zabawiaj, gość, rozrywaj"; 36) Książę ruski lub litewski; 41) Rzeka w Rosji; 42) Ptak śpiewający; 43) Część ciała (2 przyp. liczby mnogiej); 44) Gatunek wierzby.

METAMORFOZA

Z początkowego wyrazu „baton", zmieniając stale jedną literę (za każdym razem inną), utworzyć nowe wyrazy tak, aby po zmianie wszystkich liter otrzymać wyraz końcowy „kurak".

Rozwiązanie powyższych zadań przesyłać należy najpóźniej do dnia 5 sierpnia br. pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat Młodych", Warszawa, ul. Grażyny 8 z dopiskiem „Rozrywki umysłowe".

Za rozwiązanie ich przyznane zostaną nagrody książkowe.

Jednocześnie przypominamy, że w nr. 19-tym „Świata Młodych" ogłosiliśmy III-ci konkurs wytrwałości, który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań, zamieszczonych w nr.nr. 19, 20, 21 i 22, a dla zwycięzców przeznaczone są specjalne nagrody.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr 14—15

LOGOGRYF: harem, oranż, netto, orzeł, rekin, Idzi, Opole, jasyr, ciecz, zorza, perły (wspak), zimno, Nepal, Arras, hamak, alibi, sanie, gonił (wspak), Erato — „Honor i Ojczyzna hasłem żołnierza polskiego".

BILETY WIZYTOWE: krawiec — Świdnica, redaktor — Katowice, buchalter — Zakopane.

SZARADA: Da - nu - ta.

ZAGADKI: Tata - rak, Ma - lina, Plu - ton.

Nagrody za dobre rozwiązanie zadań z nr. 14—15 otrzymują:

1) ZOFIA PSARSKA — Tarnów, ul. Św. Marcina 1 książkę A. Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą"
2) ZDZISŁAW FISCHBACH — Września Wlkp., ul. Sienkiewicza nr. 20, książkę M. Ruskina „Z barykady w dolinę głodu".

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze w zadaniu „Rzeczne rebusiki" zamieszczono niewłaściwy rysunek, za co przepraszamy naszych rozrywkowiczów, a zadanie unieważniamy.



Drużyna piłkarska WKS „Legia".

CZY WEJDĄ DO KLASY PAŃSTWOWEJ

Piłkarze warszawskiej Legii zdecydowanie zdobyli w tym roku mistrzostwo stołecznej A-klasy. W osiemnastu meczach wojskowi stracili tylko 4 punkty i uzyskali pokaźny stosunek bramek 92:20.

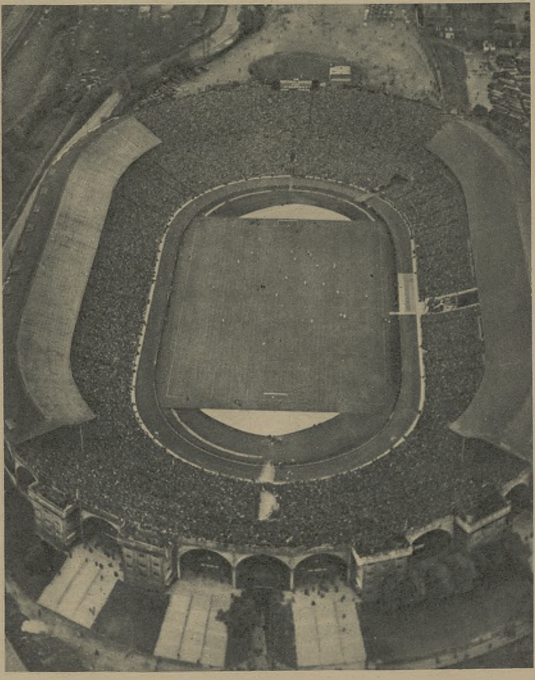
Teraz wojskowi walczą o wejście do Klasy Państwowej w konkurencji mistrzów poszczególnych okręgów. Z osiemnastu mistrzowskich drużyn trzy wejdą do przyszłorocznej ekstraklasy. Legia ma duże szanse (obok śląskiego Ruchu i Tarnovii) aby wznowić dawne tradycje bojów ligowych. Obok Polonii, która ma już pewne miejsce w ekstraklasie — będzie Legia tam drugą warszawską drużyną. Odwieczna rywalizacja „czarnych" i „zielonych koszul" przeniesie się więc w „wyższe sfery" ligowe.

TU SIĘ ODBĘDZIE NAJBLIŻSZA OLIMPIADA

Przygotowania do XIV Olimpiady w Londynie są w pełnym toku. Co prawda, świat dowiaduje się co pewien czas ze zdziwieniem o poważnych trudnościach mieszkaniowych, czy aprowizacyjnych, które przewiduje już Komitet Olimpijski. Nie będzie żadnej specjalnej wioski olimpijskiej, zawodnicy zamieszkają w dawnych obozach wojskowych, które pozostały od czasu ostatniej wojny. Wobec ograniczeń żywnościowych w Anglii, sportowcy nie mogą liczyć na żadne dodatkowe racje, tak że trzeba będzie przywieźć poważne zapasy ze swych krajów.

Olbrzymi stadion Imperialny w Wembley pod Londynem pomieścić może przeszło sto tysięcy widzów. Tu odbędzie się półfinał i finał olimpijskiego turnieju piłkarskiego oraz zawody lekkoatletyczne — najpiękniejsza część każdej olimpiady.

Londyn organizuje igrzyska wszechświatowe już po raz drugi. I nowożytna Olimpiada odbyła się w 1896 r. w Atenach, II — w 1900 r. w Paryżu, III — na ziemi amerykańskiej w St. Louis w 1904 r., IV — właśnie w Londynie w 1908 r., V — w Sztokholmie w 1912 r., VI — nie odbyła się wskutek pierwszej wojny światowej (a miała mieć miejsce w 1916 r. w Berlinie), VII — pierwsza po wojnie — w Antwerpii w 1920 r., VIII — w Paryżu w 1924 r. (na niej po raz pierwszy wystąpiła oficjalnie Polska), IX — w Amsterdamie w 1928 r. (Konopacka zdobyła wtedy pierwszy złoty medal olimpijski dla Polski), X — w Los Angeles w 1932 r., XI — w Berlinie w 1936 r., XII olimpiada planowana była w 1940 r. najpierw w Tokio a następnie w Helsinkach, XIII olimpiada powinna odbyć się w 1944 r. ale wojna jeszcze trwała i dopiero XIV olimpiada dochodzi do skutku po dwunastu latach przerwy.



Stadion w Wembley FOTO KEYSTONE SAP

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. »PŁOMIENIE«
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. TEL. 8-51-32
PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 225.— Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr I - 4252

Rotograwiura — Drukarnia Nr. 2. Sp. Wyd. „Czytelnik" — Warszawa. B-31387

22 LIPIEC ŚWIĘTO MOTOCYKLOWE POLSKI



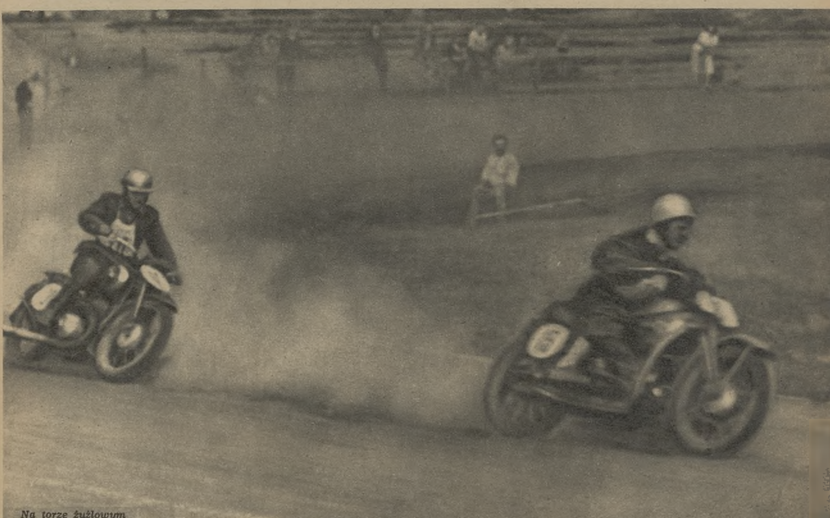
Stanisław Brun



Żymirski



Próba zręczności



Na torze żużlowym